

Rządy nabroiły w Afganistanie

16 lipca 2010

W polskiej polityce zagranicznej są rzeczy, którymi wszyscy chętnie się zajmują, a są też sprawy o których mówić nie wypada. Czasem jedno i drugie dotyczą tych samych kwestii. Politycy i dziennikarze lubią np. rozprawiać o naszych zobowiązaniach wobec sojuszników z NATO, i rzekomo wynikających stąd „misjach zagranicznych” naszych wojsk. Gdy jednak pojawia się kwestia stawienia czoła praktycznym konsekwencjom działań podejmowanych „w imię sojuszniczych zobowiązań”, zapada cisza. Ponoszenie odpowiedzialności za własne działania nie jest ulubionym zajęciem naszej klasy politycznej i wojskowej kadry dowódczej. W najlepszym przypadku raczą nas one sugestiami, że wszystkiemu złemu winni są inni (np. tchórzliwi Niemcy, zbyt ostrożni Francuzi czy Brytyjczycy ulegający zgniłemu pacyfizmowi). Nawet dość oczywiste zbrodnie wojenne takie jak ostrzelanie wsi Nanghar Khel w sierpniu 2007 r. nie obciążają naszego konta. Nie inaczej dzieje się obecnie, gdy wojna afgańska po raz któryś już powróciła na pierwsze strony gazet.

Tak się złożyło, że tegoroczne wybory prezydenckie w Polsce kończyły się przy wtórze doniesień o kolejnych żołnierzach zabitych w Afganistanie. Rzecz jasna straty polskiego kontyngentu w tym kraju wciąż są stosunkowo niewielkie. Do 27 czerwca br. zginęło 19 Polaków, co w porównaniu do liczby zabitych żołnierzy USA (1062) czy Wielkiej Brytanii (303) nie wydaje się wielkością dramatyczną w warunkach wojennych.

Niepokojące jednak jest to, że doniesienia o rosnących w coraz większym tempie ofiarach nie robią na nikim wrażenia. Wręcz przeciwnie, rząd Donalda Tuska, zgodnie ze swoją dewizą chowania głowy w piasek w imię zasady, że „jakoś to będzie”, trwa wiernie przy polityce zwiększania polskiej obecności wojskowej w Afganistanie. Kilka miesięcy temu podjęto decyzję o zakupie izraelskich samolotów bezzałogowych na potrzeby

działań okupacyjnych w prowincji Ghazni. I bez takich ekstrawagancji koszty wojny w Afganistanie rosną z roku na rok. Jeżeli jeszcze w roku 2004 kosztowała ona państwo polskie „tylko” 40 mln zł, to w roku 2009 cena wojny wyniosła niebagatelne 785 mln, a w 2010 r. ma przekroczyć 1,9 mld zł.

Jedną z najważniejszych decyzji podjętych przez pełniącego obowiązki prezydenta marszałka Komorowskiego, kilka dni po katastrofie smoleńskiej (a zatem w cieniu ogłoszonej po niej żałoby), była zgoda na wysyłkę posiłków do Afganistanu. W konsekwencji można się spodziewać nowych doniesień o stratach sił okupacyjnych, ale, co najważniejsze, wysłanie kolejnych żołnierzy pod Hindukusz oznacza intensyfikację walk i dalsze zwiększanie się liczby cywilnych ofiar tej kolonialnej wojny. Wedle ostrożnych danych ONZ tylko w roku 2009 zginęło w Afganistanie 2412 osób cywilnych, a to jest równoznaczne z 14% wzrostem w stosunku do roku 2008.

O takich brzydkich rzeczach nie mówi się jednak podczas kampanii prezydenckiej. Jeżeli już słyszymy głosy krytyczne o polskim zaangażowaniu w Afganistanie i perspektywie wycofania się stamtąd to padają niemal wyłącznie argumenty techniczne. Tak właśnie było z artykułem szefa Biura Bezpieczeństwa Narodowego generała Stanisława Kozieja. [1]

Generał Koziej nie powiedział niczego oryginalnego, ani nowego. Każdy kto śledzi wydarzenia w Afganistanie zdążył się już zorientować, że dowództwo NATO nie ma pomysłu na rozwiązanie sytuacji w tym kraju, inicjatywa jest po stronie powstańców, którzy zdobywają coraz większą sympatię ludności, armia polska wzięła na siebie zbyt ambitne zadania, a dalsze trwanie na dotychczasowych pozycjach może się przekształcić w bezładną rejteradę i, w konsekwencji, w podważenie wiarygodności Paktu Północnoatlantyckiego. W tych warunkach generał Koziej proponował rezygnację z mirażu zaprowadzenia w Afganistanie porządku politycznego odpowiadającego Waszyngtonowi, sukcesywne zmniejszanie polskiego kontyngentu i jego wycofanie w 2012 r. – razem z resztą sił NATO lub

samodzielnie.

Trudno przypisać tym tezom jakiś radykalizm, bo przecież ich autor nie zakwestionował NATO-owskich ambicji zarządzania bezpieczeństwem światowym, które leżą u podstaw wojny w Afganistanie, ani nawet nie odrzucił retoryki „zagrożenia terrorystycznego” rzekomo płynącego z tego kraju. Przyznać trzeba jednak, że po raz pierwszy tak wysoki urzędnik państwowy w Polsce zdobył się na odważną i trafną analizę sytuacji. Historyczne reakcje na analizę generała Kozieja tylko potwierdzają jej słuszność. Nie zmieni tego nawet fakt, że pod naciskiem polityków, generalicji i mediów szef BBN sam zaczął bagatelizować własne słowa.

Gazeta Wyborcza z właściwym sobie poczuciem odpowiedzialności napiętnowała generała na pierwszej stronie oznajmiając, że Koziej „nabroił” [2]. Prawda jednak jest taka, że nabroiły kolejne rządy, z lewicy i prawicy, które najpierw posłały polskich żołnierzy na kolonialną wojnę Ameryki, a potem bezrefleksyjnie zwiększały ich liczebność. Nabroiły także media, które postanowiły pełnić rolę wojennego dobosza walącego w bębenek upragnionego zwycięstwa bez liczenia się z ceną, jaką zapłacą za nie Afgańczycy. Warto pamiętać, że ulubiony zwrot niektórych bojowych dziennikarzy wciąż brzmi „musimy wygrać tę wojnę” – tak jakby chodziło o grę komputerową – oczywiście prowadzoną z bezpiecznej odległości.

Autor: Przemysław Wielgosz

Źródło: [Le Monde diplomatique](#)

PRZYPISY

[1]

<http://www.polskieradio.pl/wiadomosci/kraj/artyku171846.html>

[2]

http://wyborcza.pl/1,75248,8061768,General_Koziej_nabroil.html